



Harlequin®

ROMANS

&

SENSACJA



Caroline Burnes

Uciec przed złem

Caroline Burnes
Uciec przed złem

Tłumaczyła
Barbara Kośmider

Tytuł oryginału: Familiar's Vows

Pierwsze wydanie: Harlequin Books, 2009

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Władysław Ordęga

Korekta: Małgorzata Narewska, Władysław Ordęga

© 2009 by Carolyn Haines

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans & Sensacja są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8122-3

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ach, jak dobrze znów wrócić na Południe. Tutaj jedzenie jest dziełem sztuki, a istoty ludzkie wcale nie zważają na to, że już czwarty raz zjawiam się przy stole z przekąskami. Uwielbiam te paszteciki z łososiem w koperkowym sosie! Krokiety z tuńczykiem też są super. Niech dwunożni marnują przydział kalorii na szampana. Ja wolę rozkoszować się pożywieniem, dzięki któremu moja sierść będzie lśniąca, a mój wzrok przenikliwy. Nie ma jak takie potrawy. Pycha!

Wszyscy właśnie zajmują miejsca. Harfiarka już zaczęła brzdąkać na harfie. Chyba pora na wydarzenie dnia, muszę więc szybciotko znaleźć się u boku Eleanor, mojej ukochanej właścicielki.

Przyznam, że panna młoda jest piękna. Cały ten ślub w konwencji wojny secesyjnej, choć kotu wydaje się dziwny, w istocie rzeczy jest piękny. Charles z szablą przy boku i ze złocistym pasem wygląda bardzo przystojnie, a Lorry, w sukni naszywanej perełkami, to prawdziwe zjawisko. Może to tylko pozór, lecz stroje młodej pary dodają temu ślubowi nadzwyczajnej powagi i dlatego wierzę, że Charles i Lorry razem znajdą szczęście. Z tego, co wiem od Eleanor, Lorry zasługuje na coś dobrego. Jej życie nie było łatwe.

Druhny już ustawiły się w rządek i wszystkie oczy

zwróciły się na Lorry, która płynie wzdłuż głównej nawy.

Oho, czyżby jakieś kłopoty? Temu wysokiemu druzbie najwyraźniej coś się nie podoba. Facet ma taką minę, jakby chciał gdzieś pognać, ale nie, nie może tego zrobić. Przecież zrujnowałby ceremonię.

Ale co takiego widzi Lucas West? Przez całe popołudnie obserwował wszystko z taką uwagą, jakby spodziewał się wizyty Kuby Rozpruwacza, a teraz wyciąga szyję, aby przyjrzeć się dziewczynie z aparatem fotograficznym. To prawdopodobnie asystentka głównego fotografa. Dlaczego miałoby to tak bardzo zaniepokoić Lucasa? Dwóch pstrykaczy za cenę jednego? Moim skromnym zdaniem to żaden problem.

Muszę stwierdzić, że ta kobitka z migawką powinna znaleźć się przed obiektywem, a nie za nim. Prawdziwa z niej ślicznotka, ale ona sama chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Najwyraźniej myśli tylko o robieniu zdjęć, a upragnionym obiektem jest panna młoda.

Lorry, złotowłosa i urodziwa, emanuje szczęściem, a panna Migawka niemal depcze jej po piętach. Dziewczyna z aparatem jest rzeczywiście bardzo przejęta. Zrobi te zdjęcia, choćby nie wiem co. Nawet wpełnęła się przed głównego fotografa, co nie spodobało się ani jemu, ani Lucasowi.

Teraz i Lucas, i Eleanor zachowują się trochę dziwnie. Jestem pewien, że coś się za tym kryje, i zamierzam to zgłębić zaraz po ślubnej przysiędze.

Światło w wiekowym, drewnianym kościółku było wprost nadzwyczajne. Michelle krążyła po wnętr-

rze przy wtórze niemal bezgłośnego szmeru kamer filmujących ślub cyfrowo i na taśmie. Z czterech ślubów, które do tej pory sfotografowała dla czasopisma „Młoda Para”, ten niewątpliwie był najlepszy, przynajmniej z jej punktu widzenia. Redakcja czasopisma oferowała kwiaciarniom darmowe ogłoszenia w zamian za informacje o nietypowych ceremoniach ślubnych. Ta rzeczywiście była fantastyczna i Michelle postanowiła wysłać firmie Kwiaty Bez Granic kartkę z podziękowaniem.

Nie miała pojęcia, czy państwo młodzi się kochają i czy zawsze będą ze sobą szczęśliwi. Prawdę mówiąc, wcale jej to nie obchodziło. Pragnęła tylko uchwycić moment jedyny w swoim rodzaju, gdy światło, kompozycja i ludzkie emocje idealnie zgrają się ze sobą. Zdjęcie zrobione właśnie w takiej chwili mogło opowiedzieć całą historię.

Posuwając się wzdłuż zachodniej ściany kościołka, zauważyła, że wysoki druhna patrzy na nią zło-wrogo. Zupełnie jakby na moment zapomniał, że jest druhną w mundurze oficera konfederatów, i zamierzał z jakiegoś powodu jej wygarnąć. Gdyby nie skupiła całej uwagi na pracy, perspektywa konfrontacji z tym osobnikiem mogłaby być ekscytująca. Był całkowitym przeciwieństwem mężczyzn z Nowego Jorku. Poważny, opanowany, z twarzą o męskich, wyrazistych rysach, zdaniem Michelle wyglądał jak szeryf z czarno-białych westernów. Szkoda, że piorunował ją takim wzrokiem, jakby uważał ją za konio-krada, którego należy powiesić.

Usiłowała ignorować gniewnego druhnę, lecz jego spojrzenie działało deprymująco. Owszem, zjawiała

się bez zaproszenia, ale dzięki niej ta przyszła żoneczka otrzyma prezent, za jakim zabijały się wszystkie panny młode. Ilustrowany zdjęciami artykuł w znanym czasopiśmie!

Z pewnością nie chodziło o błyski flesza, ponieważ Michelle wcale go tutaj nie używała. Mimo to osłonięta przejrzystym welonem twarz panny młodej wyrażała rozpacz. Michelle trochę się stropiła, lecz nie przerwała pracy. Jeśli Iggy Adams, jej naczelny redaktor, nie przekona młodej pary do podpisania zgody na publikację zdjęć, to nie zostaną one wykorzystane. Lepiej unikać pozwania do sądu.

Gdy pan młody uniósł welon, przez okno na galerii przesaczyły się promienie cudownie czystego światła i Michelle zrobiła zdjęcie, na które każdy fotograf czeka z utęsknieniem. Potem pan młody pocałował pannę młodą i było po wszystkim.

Michelle westchnęła. Właściwie szkoda, że nie zna tych nowożeńców. Nawet nie miała okazji z nimi porozmawiać, ale zgodnie z umową zawartą z Iggyem nie musiała przed ślubem informować ich o planowanych zdjęciach. Chodziło o to, aby młoda para nie przygotowała się na sesję zdjęciową. Fotografie ślubne zrobione z zaskoczenia rzeczywiście bywały najlepsze, choć takie podejście nadal wydawało się Michelle trochę dziwne. Ale to już problem Iggy'ego, niech on zajmie się kłopotliwymi szczegółami. Ona miała tylko pstrykać zdjęcia.

Właśnie, skoro już o tym mowa... Dzisiaj czekał ją jeszcze jeden ślub, więc należało zwinąć kram i udać się w drogę.

Podniosła z podłogi torbę na sprzęt, szybkim kro-

kiem ruszyła do wyjścia i zaraz potknęła się o czarnego kota. Wpatrywał się w nią tak, jakby chciał jej coś powiedzieć.

– Hej, kiciusiu. – Schyliła się i pogłaskała lśniące futerko, lecz kot nawet nie mrugnął. Nadal tylko ją obserwował. Nie krytycznie, lecz jakby z zaciekawieniem. Przypomniało się jej powiedzenie, że ciekawość zabiła kota. Michelle chętnie wzięłaby tego ślicznego zwierzaka ze sobą, ale było to praktycznie niewykonalne. Szkoda, bo zachowywał się jak kandydat na idealnego współlokatora.

Wyszła na zewnątrz i z rozbawieniem stwierdziła, że kot nadal jej towarzyszy. Czyżby był bezdomny? Przyjrzała mu się uważniej. Wyglądał na dobrze odżywionego i zadbanego, więc najpewniej miał kochających właścicieli, dlaczego więc płatał się tutaj?

Podeszła do auta, wyjęła z aparatu kartę z cyfrowym zapisem i włożyła ją do prawej kieszeni załazki. Przewinęła film w drugiej kamerze, przykleiła do rolki naklejkę i schowała taśmę do lewej kieszeni. Następnie wsunęła do komory pierwszego aparatu nową kartę, a do drugiego załadowała czystą taśmę. Zaczęła pakować sprzęt do samochodu. Czarny kot ocierał się o jej kostki i mruczał.

– Przepraszam panią.

– Tak? – Podniosła głowę i napotkała wzrok wysokiego druzby. Uznała, że z bliska jest jeszcze przystojniejszy, a jego śmiałe spojrzenie wprowadziło ją w zakłopotanie. Poczuli się tak, jakby miała rozpiętą bluzkę.

– Obawiam się, że nie może pani zabrać zrobionych tutaj fotografii.

Łagodny ton głosu przeczył malującej się w oczach śmiertelnej powadze.

– Mój szef skontaktuje się z państwem w sprawie podpisania stosownych upoważnień. – Michelle odgarnęła na plecy długie rude włosy.

– Pani szef?

– Iggy Adams, naczelny czasopisma „Młoda Para”. Planujemy artykuł o ślubach w małych, nieznanych miejscowościach. O Spanish Fort w Alabamie chyba nikt nie słyszał.

– Poproszę o kartę z zapisem i film.

– Wykluczone. – Jest jak bryła lodu, pomyślała. Traktował ją tak, jakby właśnie obrabowała bank. Zanim zdążyła zatrzaskać tylne drzwi auta, do jego wnętrza wskoczył czarny kot. Spróbowała wyjąć go z samochodu, a mężczyzna stanowczym gestem przytrzymał drzwi.

– Przykro mi, ale musi pani oddać fotografie.

– Te fotografie są moją własnością – odparła chłodnym tonem. Kimkolwiek był, umiał ukrywać emocje. Mówił tak obojętnie, jakby prosił w sklepie o gumę do żucia. – Jeśli spróbuje pan mi je odebrać, spotkamy się w sądzie.

– Nie, proszę pani. Nie będziemy się sądzić. Chcę tylko dostać fotografie. Nie ma pani prawa ich zachować.

– No cóż, przyznam, że fotografowanie ślubu bez uprzedniej zgody państwa młodych to trochę dziwny pomysł, lecz jak dotąd wszyscy byli zachwyceni perspektywą publikacji ich zdjęć na łamach znanego pisma. Państwo młodzi będą mieć decydujące zdanie w sprawie wyboru konkretnych zdjęć.

– Pani nadal nie rozumie. Te fotografie nigdzie się nie ukazą.

Dostrzegła, że gniewnie zacisnął szczęki, i nabrała w płuca powietrza.

– Iggy nie wykorzysta tych zdjęć, jeśli państwo młodzi nie podpiszą upoważnienia. To sprawa między nimi a redakcją czasopisma. Lecz mnie zapłacono za przyjazd tutaj, poświęciłam tej sprawie cały tydzień, nie mówiąc o koszcie biletów lotniczych i noclegów w hotelu, więc muszę wykazać się jakimiś rezultatami.

Aż się zadyszała podczas tej tyrady. I stwierdziła, że jej słowa nie wywarły na mężczyźnie żadnego wrażenia. W jego szarych oczach nadal malowało się zdecydowanie.

– Proszę pani, w przypadku każdego innego ślubu jego uczestnicy z pewnością byliby zachwyceni swoimi zdjęciami w nowojorskim miesięczniku. Ale dzisiejsza ceremonia to wyjątek. Panna Lorry poprosiła mnie o konfiskatę zdjęć i ja zamierzam to zrobić.

Mężczyzna błyskawicznie wyjął z wnętrza samochodu aparat i usunął z niego kartę z cyfrowym zapisem, zanim Michelle zdążyła jakoś zareagować. Dopiero gdy sięgnął po drugi, opuściła na przedramię osobnika drzwi auta. Nie na tyle gwałtownie, aby go zranić, lecz wystarczająco mocno, aby zrozumiał, że to nie żarty.

– Proszę nie dotykać mojego sprzętu! – Zwolniła nacisk na krawędź drzwi, aby mógł cofnąć rękę.

– Pani nie rozumie, o jaką stawkę tutaj chodzi.

Owszem, starał się mówić przekonująco. Ale nie wiedział jednego – Michelle nigdy nie pozwalała

nikomu nawet palcem tknąć jej sprzętu fotograficznego. Z żadnego powodu. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, a czarny kot wskoczył na przednie siedzenie. Ku jej niebotycznemu zdumieniu zdołał otworzyć przegródkę w desce rozdzielczej i zaczął łapką grzebać wśród znajdujących się tam przedmiotów.

– Hej, kocie! – zaprotestowała.

Mężczyzna wykorzystał moment nieuwagi Michelle, skonfiskował film i oddał jej kamerę.

– Bardzo mi przykro, proszę pani.

Nie posiadała się z oburzenia, lecz przecież miała zdjęcia przy sobie. Ten neandertalczyk zabrał tylko czyste kasety. Najlepiej więc zniknąć stąd jak najszybciej, zanim facet spróbuje ją obszukać.

Ominęła go, machaniem rąk wypłoszyła kota z samochodu i usiadła za kierownicą. Mężczyzna zaczął coś mówić, lecz raptownie dodała gazu i wyjechała z kościelnego parkingu tak szybko, jakby ją gonił sam diabeł.

We wstecznym lusterku zobaczyła, że mężczyzna w eleganckim mundurze konfederata nadal patrzy za nią, a kot siedzi obok jego czarnych, lśniących butów.

Lucas West obserwował tumany rudego kurzu wzniecone oponami wielkiego auta z numerami rejestracyjnymi Atlanty. Zapamiętał je, lecz to było bez znaczenia. Miał zdjęcia i zdołał je skonfiskować tylko dzięki kotu. Jednak ten już gdzieś zniknął.

Lucas jeszcze przez chwilę dumał o dziwnym spotkaniu i mimo woli się uśmiechnął. Kimkolwiek była ta pani fotograf, zjawiała się tutaj z gwałtownością teksańskiej trąby powietrznej. Nie, to przesada. Dzie-

wczyna zachowywała się spokojnie i profesjonalnie, lecz wyglądała zachwycająco. W białej, koronkowej bluzce, czarnych spodniach i w botkach na wysokich obcasach niemal przyprawiła go o zawrót głowy. Otrzeźwiająco podziałał na niego widok aparatów fotograficznych.

Lucas wyczuł za plecami jakiś ruch i szybko się odwrócił. Obok niego zatrzymała się Eleanor Curry, sympatyczna kobieta podróżująca z czarnym kotem.

– Kto to był? – spytała.

– Fotograficzka z czasopisma „Młoda Para”.

– Fiu. Zdjęcia na jego łamach to nobilitacja dla dziewczyny w ślubnym welonie.

– Dla Lorry to zbyt ryzykowne. Skonfiskowałem filmy. Że też wysłali kogoś do fotografowania ceremonii, skoro wcześniej nie pytali o zgodę. Co za głupota.

– Chodzi o uchwycenie magicznego momentu.

– Eleanor wzięła Lucasa pod rękę i oboje ruszyli w stronę wielkiej altany za kościołem, gdzie odbywało się weselne przyjęcie. – Odebrałeś jej zdjęcia, więc nie ma sprawy. Wypijmy kieliszek szampana.

Lucas trochę się odprężył. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Miał zdjęcia i teraz chciał cieszyć się tym, że silna i odważna młoda kobieta właśnie wkroczyła na nową drogę życia.

– Lorry nareszcie jest szczęśliwa – stwierdziła Eleanor. – A już się obawiałam, że to nigdy nie nastąpi.

– Zrobiła dla mnie coś heroicznego. – Lucas wziął od mijającego ich kelnera dwa kieliszki i podał jeden Eleanor. – Obiecałem, że pomogę jej zacząć

wszystko od nowa. Dzisiejszy dzień to pierwszy krok na drodze do szczęścia. Lorry i Charles mają przed sobą całą przyszłość.

– Są tacy zakochani. – Eleanor gestem wskazała ciemną sylwetkę kota przemykającego wzdłuż rzędu krzeseł przy bufetowym stole. – A oto Kumpel w akcji. Chyba już powinnam go zabrać. Uwielbia weselne jedzonko, ale musimy złapać wieczorny lot do Waszyngtonu. Spędzimy tam kilka tygodni, a później prowadzę seminaria w Nowym Jorku. Peter dołączy do mnie, gdy skończy wykłady w Chicago.

– Szczęściarz z tego Petera, bo ma ciebie. I waszego kota. Wiem, uważasz go za jakiegoś detektywa, ale to przerasta moją wyobraźnię.

– Kumpel na pewno ci ją poszerzy. Zawsze znajdzie sposób, aby udowodnić, jaki z niego mądrała. A teraz chodźmy ucałować młodą parę i jeszcze raz życzyć im wszystkiego najlepszego. Kumpel i ja powinniśmy wkrótce jechać na lotnisko.

ROZDZIAŁ DRUGI

Michelle szła powoli wzdłuż ścian studia i liczyła fotografie, które miały być przewiezione do Marco's Gallery w SoHo. Kolekcja składała się z czarno-białych zdjęć o różnej tematyce. Były wśród nich zarówno pejzaże, jak i akty. Michelle starannie wybrała wszystkie fotografie. Po powrocie z Alabamy przez trzy tygodnie zajmowała się tylko przygotowaniami do wystawy.

Chłopcy z firmy przewozowej mieli zjawić się za godzinę, aby bardzo ostrożnie zapakować wielkie fotografie do drewnianych pudeł i przetransportować je do galerii.

Michelle długo czekała na taką chwilę i teraz bezwstydnie się nią rozkoszowała. Zatrzymywała się przed każdym zdjęciem przeznaczonym na wystawę, ale to najbardziej oszałamiające nie miało tam trafić. Przedstawiało pannę młodą w naszywanej perłami sukni i w tiulowym welonie, ocieniającym piękną twarz. Michelle zapamiętała ten dzień w najdrobniejszych szczegółach. Obok panny młodej stał przystojny i szarmancki pan młody w szarym mundurze oficera konfederatów. Pochylał się, aby pocałować żonę, a sposób, w jaki patrzyli na siebie nawzajem, świadczył o ich bezgranicznej miłości i oddaniu.

Michelle delikatnie musnęła palcem ledwie widocz-

na na szyi panny młodej cienką bliznę. Zauważyła ją dopiero po wydrukowaniu zdjęcia. Przecież to chyba niemożliwe, aby ktoś kiedyś usiłował poderznąć gardło tej dziewczynie.

Michelle westchnęła. Było to najlepsze zdjęcie, jakie kiedykolwiek zrobiła, lecz nie mogła pokazać go na żadnej wystawie, ponieważ nie otrzymała na to formalnej zgody. Gdy opowiedziała Iggy'emu o mężczyźnie, który usiłował odebrać jej filmy, naczelny polecił jej zapomnieć o fotografiach ze ślubu w konfederackim stylu. To jedno zdjęcie wydrukowała tylko dla siebie.

Przyczepiła ostatnią etykietkę do fotografii przedstawiającej dwa konie galopujące po bezkresnym pastwisku spowitym w gęstej mgle. Zwierzęta wynurzały się z niej, ich chrapy były rozdęte. Michelle niemal słyszała głośny stukot kopyt rytmicznie uderzających ziemię.

Jutro rano ukażą się recenzje. Krytycy sztuki wypowiedzą się na temat tej wystawy. Często byli nieprzychylni w stosunku do zatrudnionych przez ilustrowane czasopisma fotografów, którzy próbowali swoich sił jako artyści. Czas pokaże, jak ocenią te zdjęcia.

Zabrzączał telefon komórkowy i Michelle natychmiast podniosła go do ucha.

– Jasne, Kevin – odparła z uśmiechem. – Spotkajmy się za kwadrans. Chłopcy mają... – Urwała, słysząc pukanie do drzwi. – Chyba już przyjechali. Powiem im tylko, co zabrać, i wypiję z tobą tego drinka dla uczczenia okazji.

Otworzyła drzwi, a dwaj mężczyźni z Marco's

Gallery wnieśli do wnętrza duże drewniane paki. Michelle wyjaśniła, że należy zabrać fotografie opatrzone etykietkami.

– Zajmiemy się wszystkim, panno Sieck – zapewnił jeden z pakowaczy. – Marco kazał nam obchodzić się z tymi eksponatami bardzo ostrożnie.

– Marco to dobry przyjaciel. Wychodząc, zamknijcie drzwi na zatrzask i powiedzcie szefowi, że będę w galerii o szóstej trzydzieści.

Pora na Krwawą Mary z Kevinem, później wizyta u kosmetyczki i masaż. Michelle zaplanowała dzień w najdrobniejszych szczegółach. Chciała, aby był jak najmniej stresujący.

Ściskając mocno torebkę, podbiegła do krawężnika, aby złapać taksówkę, i bezwiednie westchnęła. Tak długo czekała na ten dzień. Dziesięć lat ciężkiej pracy i dwadzieścia lat marzeń. Teraz nie mogła już zrobić nic więcej.

Lucas wkroczył do obszernego budynku, w którym mieściło się biuro szeryfa. Ile to już razy wkraczał tutaj każdego ranka, słysząc stukot swoich butów, gdy szedł po wykładanej marmurowymi płytkami, lśniącej podłodze, aby rozpocząć nowy dzień pracy? Aż do czasu sprawy Lorry Kennedy nigdy nawet nie pomyślał o porzuceniu swojego zawodu. Ale teraz wszystko miało się zmienić. Już wręczył przełożonym rezygnację, a dziś musiał tylko oddać odznakę i broń.

Za dwadzieścia minut przestanie być oficerem biura federalnego.

Idąc długim korytarzem myślał o kupionym nieda-

wno ranczu w środkowym Teksasie. Na nowym etapie swojego życia zamierzał zająć się hodowlą bydła i końmi, co będzie oznaczało dużo fizycznej pracy. Potrzebował właśnie takiego remedium, aby jakoś pogodzić się ze śmiercią brata. Zwolnił się z pracy, a koledzy zaakceptowali jego decyzję i nikt nie próbował skłonić go do jej zmiany. Przyjął to zrozumienie z dużą ulgą.

Po oficjalnej części ostatniej wizyty w biurze uściśnął dłonie byłych współpracowników, wysłuchał kilku żartów o emerytach i na pożegnanie został poklepany po plecach. Tak zakończyły się lata aktywnej służby.

Po opuszczeniu budynku natknął się na Franka Holcomba, swojego byłego partnera. Frank wołał poczekać na zewnątrz, gdy Lucas żegnał się z resztą kolegów.

– A więc klamka zapadła? – spytał Frank.

– Już jestem zwykłym obywatelem. – Lucas musiał w duchu przyznać, że czuje się dziwnie bez broni i odznaki. – Minie trochę czasu, zanim do tego przywyknę, ale właśnie tego mi trzeba.

– Wiem. – Frank podszedł z nim do półciężarówki i na chwilę zapanowało niezręczne milczenie.

– Wpadniesz do mnie na ranczo, prawda? Już wkrótce.

– Jasne. – Frank wyciągnął do przyjaciela rękę. – Będzie mi ciebie brakować.

– Oby nie za bardzo. – Lucas nie przypuszczał, że ta chwila będzie aż taka trudna. – Uważaj na siebie, Frank.

– Przyjedziesz na rozprawę apelacyjną Antonia?

– Oczywiście. – Lucas znów poczuł przypływ gniewu. Głównie z tego powodu postanowił porzucić pracę, którą tak lubił. – Za skarby świata nie odmówię sobie tej przyjemności.

– To na razie.

– Do zobaczenia. – Lucas wszedł do szoferki i wyjechał na ulicę. Nie było mu łatwo zamknąć za sobą ten etap życia. Wciąż się ze sobą zmagał. Ale Antonio Maxim zamordował jego brata i niemal zdołał zabić Lorry Kennedy, znaną także jako Betty Sewell – jedyne go świadka tego morderstwa. Oba wydarzenia sprawiły, że Lucas znalazł się na krawędzi. Mało brakowało, a wziąłby prawo w swoje własne ręce.

Jednak to było wykluczone. Musiał pozostawić Antonia wymiarowi sprawiedliwości, a sam skupić się na zbudowaniu dla siebie jakiejś sensownej przyszłości. Nie mógł dopuścić do tego, aby zniszczyła go przeszłość.

Skierował auto na północ. Musiał zreperować długie ogrodzenie. Może za pewien czas, gdy będzie miał za sobą niezliczoną ilość godzin w siodle, jakimś cudem zdoła osiągnąć spokój.

Nie ma jak rześka letnia noc na Manhattanie. Wokół mnie miasto pulsuje życiem. Oczywiście uwielbiam Waszyngton, ale trochę energii Nowego Jorku to miła odmiana.

Eleanor pisze mowę na jutrzejszy zjazd lingwistów, więc skorzystałem z okazji i wymknąłem się na zewnątrz, aby odwiedzić Marco's Gallery.

Chcę jeszcze raz zerknąć na tę długonogą syrenę, która na ślubie Lorry tak zdenerwowała Lucasa.

Rzeczywiście się podniecił i chociaż głównie wściekał się z powodu fotografii, to przynajmniej z dziesięć procent jego ekscytacji było skutkiem owej dziwnej siły przyciągania, jaka czasami działa na mężczyznę i kobietę. Albo na przystojnego czarnego kota i jego kocią ukochaną.

Nigdzie nie jest tak łatwo się przemieszczać, jak w Nowym Jorku. Czarny kot na relaksującej przejeździe w metrze nie wzbudza żadnego zainteresowania. Mogę więc sobie jeździć do woli. Przyznam jednak, że chociaż kocham Nowy Jork, to najbardziej chciałbym mieszkać w Egipcie. Tak, to była pamiętna podróż. Egipcjanie rozumieją, że koty to bogowie. To przecież święta prawda.

Teraz wysiadam i mknę po schodach na ulice So-Ho. Dobrze, że zerknąłem na kalendarz panny Migawki i przeczytałem notatkę o wystawie. Chętnie zobaczę fotografie tej pannicy. Umieram z ciekawości.

Zjawiam się nieco za wcześnie, ale ludzie już się schodzą. Ach, ci młodzi, piękni i eleganccy nowojorczyści! A oto i gwiazda wieczoru, która właśnie wysiada z limuzyny. O, rany! Moje serce zabiło mocniej. Dziewczyna wygląda super w tej małej czarnej ze skrzyżowanymi ramiączkami. Fakt, jest przepiękna. Zobaczmy, jak ma się sprawa z talentem i rozumkiem.

Parę osób spojrzało na mnie ze zdziwieniem, lecz większość osób nawet mnie nie zauważa. W mieście, gdzie tyle się dzieje, jeden samotny czarny kot nie wzbudza zainteresowania. Jestem prawie niewidzialny i właśnie dlatego odnoszę takie sukcesy jako prywatny detektyw. Ale dzisiaj wieczorem nie pracuję. Wizyta tutaj to czysta przyjemność.

I to jaka! Fotografie są niewiarygodnie piękne! Panna Migawka rzeczywiście jest zdolna, nawet bardzo. A rozumek... hm, on może wcale nie jest ważny. Dziewczyna ma wystarczająco dużo talentu, aby skutecznie zamaskować brak zdrowego rozsądku.

Tłum podziela moje zdanie. Ludzie są zafascynowani jej dziełami. Zdjęcie koni sprawia, że chciałbym zamieszkać na farmie, oczywiście o ile nie musiałbym jeździć konno. A tutaj chyba rozpoznaję rzekę Hudson. Fotografia wygląda bardziej na obraz niż na zdjęcie. Panna Migawka jest fantastyczna.

A teraz następne ujęcie – panna młoda i...

Nie wierzę własnym oczom. Przecież to Lorry i Charles. Oj, niedobrze. Prawdę mówiąc, bardzo źle. Lepiej, żebym wrócił do hotelu i dał znać Eleanor, co się święci. Trzeba zacząć działać.

Michelle odetchnęła głęboko. Powinna się odprężyć i uśmiechać. Wszystko szło lepiej, niż się spodziewała. Jeszcze przed oficjalnym otwarciem na ulicy zebrały się tłumy, a ona czuła się jak księżniczka, gdy wysiadała z limuzyny, a wokół błyskały flesze. Marco, właściciel galerii, zaprosił mnóstwo dziennikarzy.

Ekipy telewizyjne już rozstawiły kamery. Michelle nie była zachwycona perspektywą filmowania, lecz jeśli chciała sprzedawać swoje fotografie jako dzieła sztuki, musiała podporządkować się prawom reklamy.

Wpłynęła do galerii wraz z grupą bogatych pań, które niewątpliwie miały przy sobie książeczki czekowe. Chciała się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy to nie sen.

Robienie zdjęć ilustrujących artykuły w prasie Michelle miała we krwi i nigdy nie zrezygnowałaby z tego zajęcia. W głębi duszy marzyła jednak, aby zaakceptowano ją jako artystkę, która tworzy dzieła sztuki przy pomocy aparatu fotograficznego, a nie farb i pędzli. Przez wiele lat to marzenie wydawało się jej całkiem nierealne. Zaczęła je realizować dopiero dzięki sugestiom Marca. Właśnie on przekonał ją, aby spróbowała swoich sił.

Podeszła do wysokiego, dystyngowanego właściciela galerii i ujęła go pod ramię.

– Cudotwórca z ciebie!

– Ja tylko rozwiesiłem tutaj te wspaniałe fotografie, Michelle. – Rozpromieniony Marco cmoknął ją w czoło. – To cała moja zasługa.

– Tak, dobra wróżko. – Michelle pomyślała, że jej ojciec też powinien być z niej teraz dumny. Ale on nie chciał zaakceptować jej powołania. Wolał cierpieć i złościć się, że nie chciała go słuchać i kroczyła własną drogą. – Gdzie moja karoca z dyni i myszy, które zmieniłeś w konie?

Serdeczny śmiech Marca rozszedł się echem po galerii. Znów rozległo się pstrykanie aparatów, błysnęły flesze.

– Dziękuję, Marco. – Michelle wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Zajmij się gośćmi, Michelle. A to co? – W głosie Marca zabrzmiało zdziwienie. – To twój kot, Michelle?

Michelle podążyła wzrokiem za spojrzeniem Marca. Na antycznym stoliku siedział piękny czarny kot, wpatrzony właśnie w nią. Odniosła wrażenie, jakby

cieszyła się jego niepodzielną uwagą. Co za niedorzeczność.

– Nie wiem, skąd się tu wziął.

– Jeśli jest bezpieczny, to chyba go zatrzymam. Nie uważasz, że dodaje galerii specyficznego uroku?

– Owszem. – Podeszła do kota i pogłaskała go. Zamruczał i otarł się o jej dłoń. Było w nim coś... znajomego. – Bądź grzeczny, a może przygarną cię w dobrym domu – szepnęła i skierowała kroki na tyły galerii, aby spojrzeć na rozwieszone tam fotografie.

Po drodze wzięła od kelnera kieliszek szampana i z przyjemnością nadstawiła ucha, słysząc pochlebne komentarze gości. Skręciła za róg i zatrzymała się tak raptownie, że idące za nią osoby niemal na nią wpadły. Ona zaś gapiała się na zdjęcie ze ślubu w konfederackim stylu i przez moment ludziła się nadzieją, że ma przywidzenia.

– Och, kochanie, to po prostu nadzwyczajne! Wyglądają tak, jakby za chwilę mieli wyjść z tej ramy i tutaj dokończyć pocałunek – zaszczębiotała stojąca tuż obok starsza pani. – Chcę kupić tę fotografię.

– Przykro mi, ale nie jest na sprzedaż. – Michelle przełknęła ślinę i rozejrzała się wokoło.

– Zapłacę każdą cenę. W tej fotografii jest coś magicznego.

– Nie jest na sprzedaż. – Michelle powiedziała to ostrzej, niż zamierzała. Kobieta odeszła, najwyraźniej urażona.

Michelle w popłochu zastanawiała się, co robić. Najpierw oczywiście musiała usunąć stąd ten eksponat. Nie uzyskała pozwolenia na jego ekspozycję